

A woman is seen from the back, looking out at a tropical beach. She is wearing a white, sleeveless, smocked dress with a floral pattern of red and black flowers. She is also wearing a wide-brimmed straw hat with a white lace top and a large white flower on the side. Her hand is resting on the brim of the hat. The background shows a clear blue sky with some clouds, a turquoise ocean with white waves, and a sandy beach.

NICHOLAS
SPARKS

OD
PIERWSZEGO
WEJRZENIA

Prolog

Luty 2005

Czy miłość od pierwszego wejrzenia jest naprawdę możliwa?

Siedząc na kanapie w salonie, zastanawiał się nad tym chyba już po raz setny. Za oknem dawno zaszło zimowe słońce, świat tonął w szarawej mgle, panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć cichego stukania gałęzi o szybę. A jednak nie był sam. Podniósł się i przeszedł korytarzem, by do niej zajrzeć. Gdy się jej przypatrywał, przeszło mu przez myśl, by położyć się obok, choćby tylko po to, żeby mieć pretekst do zamknięcia oczu. Dobrze zrobiłby mu odpoczynek, ale nie chciał ryzykować, że zaśnie. Jeszcze nie teraz. Gdy tak na nią patrzył, lekko zmieniała pozycję, a jego myśli powędrowały w przeszłość. Kolejny raz pomyślał o drodze, która ich połączyła. Kim był wtedy? I kim jest teraz? Pozornie pytania wydawały się łatwe. Ma na imię Jeremy, czterdzieści dwa lata, jego ojciec jest Irlandczykiem,

a matka Włoszką, utrzymuje się z pisania artykułów do czasopism. Takich odpowiedzi udzieliliby, gdyby go spytano. Jakkolwiek były prawdziwe, czasami myślał, że może powinien dodać coś więcej. Czy powinien na przykład nadmienić, że pięć lat temu wyjechał do Karoliny Północnej, by zbadać tajemnicze zjawisko? Że tamtego roku zakochał się nie jeden, lecz dwa razy? Albo że te piękne wspomnienia są nierozzerwalnie splecione ze smutnymi i że nawet w tej chwili nie jest pewien, które z nich przetrwają.

Okręcił się na pięcie w progu sypialni i ruszył z powrotem do salonu. Mimo że nie rozpamiętywał tamtych wydarzeń z przeszłości, nie unikał też myślenia o nich. Nie mógł już wymazać tego rozdziału swego życia ani zmienić daty urodzenia. Chociaż zdarzały się chwile, kiedy żałował, że nie może cofnąć wskazówek zegara i wyeliminować całego smutku, miał przeczucie, że gdyby to zrobił, radość również byłaby mniejsza. A tego nie potrafił sobie wyobrazić.

Zdał sobie sprawę, że wspomnienie tamtej nocy, którą spędził na cmentarzu z Lexie, nawiedza go wśród najgłębszych ciemności. Nocy, gdy zobaczył niesamowite światła, które przyjechał zbadać aż z Nowego Jorku. Wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie, ile znaczy dla niego Lexie. Kiedy czekali w mroku na pojawienie się światła, Lexie opowiedziała mu swoją historię. Wyjawiała mu, że straciła matkę i ojca, gdy była małym dzieckiem. Jeremy już o tym wiedział, nie wiedział natomiast, że po upływie kilku lat od wypadku zaczęły dręczyć ją koszmary nocne. Przerazające,

powtarzające się sny, w których była świadkiem śmierci rodziców. Jej babka Doris, której nie przychodził do głowy żaden inny pomysł, zabrała ją w końcu na cmentarz, by pokazać jej tajemnicze światła. Dla małego dziecka światła były cudowne, niebiańskie, i Lexie natychmiast uznała je za duchy swoich rodziców. Było to coś, w co chciała uwierzyć, i od tej pory nigdy więcej nie prześladowały jej zmyry.

Jeremy'ego wzruszyła jej opowieść, bolesna strata i potęga niewinnej wiary. Ale później, tej samej nocy, gdy on sam również zobaczył światła, spytał Lexie, co o nich myśli, czym są naprawdę. Pochyliła się do przodu i odparła szepem: „To byli moi rodzice. Pewnie chcieli cię poznać”.

To właśnie wtedy poczuł, że pragnie wziąć ją w ramiona. Już dawno określił ten moment jako kamień milowy, chwilę, w której zakochał się w Lexie i nigdy już nie przestał jej kochać.

Na zewnątrz zerwał się znowu lutowy wiatr. Jeremy nie mógł przebić wzrokiem nieprzeniknionych ciemności, położył się więc na kanapie ze znużonym westchnieniem, czując, jak siła wydarzeń tamtego roku cofa go w czasie. Mógł odpędzić te wspomnienia, lecz utkwivszy wzrok w suficie, pozwolił im wrócić. Zawsze pozwalał im wracać.

Pamiętał, co zdarzyło się potem.

Rozdział 1

Pięć lat wcześniej
Nowy Jork, 2000

— Widzisz, jakie to proste — powiedział Alvin. — Najpierw poznajesz miłą dziewczynę, a potem spotykasz się z nią przez jakiś czas, by się przekonać, czy ważne są dla was te same wartości. Czy zgadzacie się co do decyzji „to jest nasze życie i spędzimy je razem”. No wiesz, rozmawiacie o tym, którą rodzinę będziecie odwiedzać na święta, czy chcecie zamieszkać w domu, czy w mieszkaniu, czy kupicie sobie psa, czy kota, kto pierwszy będzie brał rano prysznic, kiedy wciąż jeszcze jest dużo gorącej wody. Jeśli w dalszym ciągu jesteście zgodni, bierzecie ślub. Nadażasz?

— Nadażam — odparł Jeremy.

W chłodne sobotnie popołudnie w lutym Jeremy Marsh i Alvin Bernstein stali w mieszkaniu Jeremy’ego na Upper West Side. Pakowali jego rzeczy od kilku godzin, wszędzie

były kartony. Niektóre, już pełne, stały przy drzwiach, gotowe do wyniesienia do wozu do przeprowadzek; inne były zapakowane częściowo. Ogólnie rzecz biorąc, mieszkanie wyglądało, jakby przez drzwi wpadł diabeł tasmański, urządził sobie balangę, a następnie wyniósł się, gdy nie zostało już nic do zniszczenia. Jeremy nie mógł uwierzyć, ile rupieci nagromadził przez lata, co zresztą wytykała mu przez cały ranek jego narzeczona Lexie Darnell. Przed dwudziestoma minutami sfrustrowana Lexie złapała się za głowę i wyszła na lunch z przyszłą teściową, po raz pierwszy zostawiając Jeremy'ego i Alvina samych.

— A twoim zdaniem co ty, u licha, robisz? — naciskał Alvin.

— To, co właśnie powiedziałeś.

— Nie, wcale nie. Przewróciłeś wszystko do góry nogami. Przechodzisz od razu do najważniejszego: „Ślubuję”, zanim w ogóle zastanowiłeś się, czy do siebie pasujecie. Ledwie znasz Lexie.

Jeremy włożył do kartonu zawartość kolejnej szuflady z odzieżą, marząc, by Alvin zmienił temat.

— Znam ją.

Alvin zaczął przerzucać papiery na biurku Jeremy'ego, a następnie wrzucił całą stertę do tego samego pudła, które ładował Jeremy. Jako przyjaciel Jeremy'ego nie miał obiektywności, by wyrazić bez ogródek swoje zdanie.

— Staram się po prostu być szczery i powinieneś wiedzieć, że również cała twoja rodzina od kilku tygodni martwi

się tym, o czym teraz mówię. Chodzi o to, że za mało wiesz o Lexie, by się przeprowadzić do Boone Creek, nie wspominając już o małżeństwie. Spędziłeś z tą kobietą zaledwie weekend. To inna sytuacja niż kiedyś z Marią — dodał, mając na myśli była żonę Jeremy'ego. — Pamiętaj, że ja znałem Marię znacznie lepiej niż ty Lexie, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to wystarczy, by się z nią ożenić.

Jeremy wyjął papiery z pudła i położył je z powrotem na biurku, przypominając sobie, że Alvin był w przyjacielskich stosunkach z Marią, zanim jeszcze on sam ją spotkał. Zresztą nadal się z nią przyjaźni.

— I co z tego?

— Co z tego? A gdybym to ja zrobił coś takiego? Gdybym to ja przyszedł do ciebie i powiedział, że poznałem wspaniałą kobietę, rezygnuję z kariery, rzucam przyjaciół oraz rodzinę i przenoszę się na Południe, by się z nią ożenić? Na przykład z tamtą dziewczyną... jak ona ma na imię... Rachel?

Rachel pracowała w restauracji babki Lexie. Alvin przystawiał się do niej podczas swojej krótkiej wizyty w Boone Creek, posuwając się nawet do zaproszenia jej do Nowego Jorku.

— Ucieszyłbym się i życzyłbym ci szczęścia.

— Daj spokój. Nie pamiętasz, jak zareagowałeś, kiedy chciałem ożenić się z Evą?

— Pamiętam. Ale to zupełnie coś innego.

— Jasne, przyswajam. Ponieważ jesteś dojrzalszy ode mnie.

— Owszem, poza tym Eva nie była raczej typem żony.

To prawda, przyznał Alvin. Lexie była małomiasteczkową bibliotekarką na wiejskim Południu, kobietą, która miała nadzieję założyć rodzinę, natomiast Eva pracowała w salonie tatuażu w Jersey City. Większość tatuaży na rękach Alwina była jej dziełem, zresztą również większość kolczyków w jego uszach. Wyglądał przez to, jakby wypuszczono go przed chwilą z więzienia. Ale nie to mu przeszkadzało, ich związek rozpadł się, ponieważ Eva zapomniała wspomnieć o pewnym drobiazgu, a mianowicie, że mieszka z przyjacielem.

— Nawet Maria uważa, że to szaleństwo.

— Powiedziałeś Marii?

— Jasne, że tak. Rozmawiamy o wszystkim.

— Cieszę się, że jesteś tak blisko z moją byłą żoną. Ale to nie jej sprawa. Ani twoja.

— Po prostu próbuję przemówić ci do rozsądku. To się dzieje zbyt prędko. Nie znasz Lexie.

— Dlaczego w kółko to powtarzasz?

— Będę powtarzał to dopóty, dopóki w końcu nie przyznasz, że jesteście właściwie dwojgiem obcych dla siebie ludzi.

Alvin, podobnie jak pięciu starszych braci Jeremy'ego, nigdy nie potrafił zmienić tematu. Ten facet przypomina psa, który nie chce wypuścić z pyska kości, pomyślał Jeremy.

— Lexie nie jest dla mnie obcą osobą.

— Nie? Wobec tego jak brzmi jej drugie imię?

Jeremy zamrugał powiekami.

— Co to ma do rzeczy?

— Nic. Ale czy nie wydaje ci się, że skoro zamierzasz się z nią ożenić, odpowiedź na to pytanie nie powinna nastroczać ci trudności?

Jeremy otworzył usta, by mu odpowiedzieć, lecz uświadomił sobie, że nie zna drugiego imienia Lexie. Nigdy mu nie powiedziała, a on nie pytał. Alvin, wyczuwając, że wreszcie przyszpilił swojego karmiącego się złudzeniami przyjaciela, nie dawał za wygraną.

— No a jeśli chodzi o istotne sprawy? Jaki był jej przedmiot kierunkowy na studiach? Z kim się przyjaźniła w college'u? Jaki jest jej ulubiony kolor? Czy lubi pieczywo białe, czy razowe? Jaki jest jej ulubiony film lub program telewizyjny? Którego autora najbardziej ceni? Czy wiesz chociaż, ile ma lat?

— Jest po trzydziestce — odparł Jeremy.

— Po trzydziestce? Tyle to i ja mógłbym ci powiedzieć.

— Jestem prawie pewny, że ma trzydzieści jeden lat.

— Jesteś prawie pewny? Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? To naprawdę idiotyczne. Nie możesz żenić się z kimś, o kim nie wiesz nawet, ile ma lat.

Jeremy otworzył kolejną szufladę i opróżnił ją do następnego pudła, wiedząc, że Alvin trafił w sedno, lecz nie chcąc się do tego przyznać. Odetchnął głęboko.

— Myślałem, że cieszysz się, iż nareszcie kogoś znalazłem — powiedział.

— Owszem, cieszę się. Nie przypuszczałem jednak, że wyjedziesz z Nowego Jorku i zdecydujesz się ją poślubić. Myślałem, że żartujesz. Wiesz, że uważam ją za wspaniałą osobę. I jest taka rzeczywiście, jeśli więc za rok lub dwa będziesz traktował ją równie poważnie, sam poprowadzę cię z nią do ołtarza. Po prostu zbytnio wszystko przyspieszasz, zupełnie bez powodu.

Jeremy odwrócił się do okna. Za szybą widział szare, pokryte sadzą cegły i prostokątne okna sąsiedniego budynku. Za nimi przesuwwały się ludzkie cienie — kobieta rozmawiająca przez telefon, mężczyzna owinięty ręcznikiem, zdążający do łazienki, jeszcze jedna kobieta, prasuująca i jednocześnie oglądająca telewizję. Przez cały czas, kiedy tu mieszkał, nie zamienił z nimi słowa poza „dzień dobry”.

— Lexie jest w ciąży — rzekł w końcu.

Przez chwilę Alvin myślał, że się przesłyszał. Dopiero gdy dostrzegł wyraz twarzy przyjaciela, zdał sobie sprawę, że Jeremy bynajmniej nie żartuje.

— W ciąży?

— To dziewczynka.

Alvin opadł ciężko na łóżko, jak gdyby nagle ugięły się pod nim nogi.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Jeremy wzruszył ramionami.

— Lexie prosiła mnie, bym na razie nikomu nie mówił. Toteż dochowaj tajemnicy, dobrze?

— Tak — odparł Alvin wyraźnie oszołomiony. — Jasne.

— I jeszcze jedno.

Alvin podniósł głowę, spoglądając na Jeremy'ego, który położył mu dłoń na ramieniu.

— Chciałbym, żebyś został moim przyjacielem.

*

Jak to się stało?

Gdy nazajutrz spacerował z Lexie, która zwiedzała sklep z zabawkami FAO Schwarz, ciągle miał problem z odpowiedzią na to pytanie. Nie miał na myśli ciąży. Tamtą noc będzie zapewne pamiętał do końca życia. Mimo że wobec Alvina nadrabiał miną, czasami miał wrażenie, że gra rolę w jakiejś komedii romantycznej, kręconej z myślą o tym, by zadowolić widzów. Takiej, w której wszystko jest możliwe i nic nie jest pewne, dopóki nie wyświetlą się końcowe napisy.

Przecież to, co mu się trafiło, nie zdarza się często. Właściwie wydawało się kompletnie nierealne. Kto podróżuje do małego miasteczka, by napisać artykuł dla „Scientific American”, spotyka małomiasteczkową bibliotekarkę i po kilku dniach kompletnie traci dla niej głowę? Kto postanawia zrezygnować z szansy telewizji śniadaniowej i z życia w Nowym Jorku po to, by przenieść się do Boone Creek w Karolinie Północnej, miasteczka, które jest jedynie maleńką kropką na mapie?

Tak wiele pytań dzisiaj.

To nie to, że miał wątpliwości i zastanawiał się, co z tym fantem zrobić. Prawdę mówiąc, gdy przyglądał się, jak Lexie przerzuca sterty figurek GI Joe i lalek Barbie — chciała sprawić prezentami niespodziankę jego licznym bratankom i bratanicom, w nadziei, że wywrze dobre wrażenie — utwierdzał się w przekonaniu, że podjął właściwą decyzję. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jakie życie będzie prowadził. Spokojne kolacje, romantyczne spacery, chichoty i przytulanie się przed telewizorem. Wspaniałe rzeczy, dla których warto żyć. Nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że nigdy się z Lexie nie posprzeczą czy ostro nie pokłóć, miał jednak pewność, iż pomyślnie przepłyną przez wzburzone wody, uświadamiając sobie w końcu, że są idealnie dobrani. Ogólnie biorąc, życie będzie cudowne.

Ale gdy Lexie krążyła po sklepie, nie zwracając na niego uwagi, bez reszty pochłonięta swoimi poszukiwaniami, Jeremy zagapił się na inną parę, stojącą obok sterty pluszowych zabawek. Właściwie trudno ich było nie zauważyć. Oboje byli tuż po trzydziestce, świetnie ubrani, on na oko mógłby być bankierem inwestycyjnym, natomiast jego żona sprawiała wrażenie osoby, która każde popołudnie spędza w Bloomingdale. Byli objuczeni mnóstwem zakupów z mnóstwa innych sklepów. Pierścionek na jej palcu miał brylant wielkości szklanej kulki do gry — znacznie większy od brylantu w zaręczynowym pierścionku, który Jeremy właśnie kupił dla Lexie. Obserwując ich, Jeremy nie miał najmniej-

szej wątpliwości, że zwykle podczas tego rodzaju eskapad towarzyszyła im niania, po prostu dlatego, że wydawali się kompletnie oszołomieni całą sytuacją i zupełnie sobie z nią nie radzili.

Niemowlę w spacerówce płakało, był to ten rodzaj przerażliwego wycia, od którego niemal pękają szyby. Inni klienci sklepu zatrzymywali się jak wryci. Dokładnie w tym samym czasie starszy braciszek dziewczynki — może czteroletni — zaczął krzyczeć chyba jeszcze głośniej i nagle rzucił się na posadzkę. Rodzice mieli przestraszone miny niczym żołnierze pod ostrzałem, cierpiący na nerwicę frontową, i trudno było nie zauważyć ich podkrążonych oczu i bladości twarzy. Mimo nienagannego wyglądu najwyraźniej byli u kresu wytrzymałości. Matka wyjęła w końcu dziecko z wózka i przytuliła je, tymczasem mąż pochylił się ku niej, poklepując niemowlę po plecach.

— Nie widzisz, że próbuję ją uspokoić? — warknęła kobieta. — Zajmij się raczej Elliotem!

Zbesztany mężczyzna pochylił się nad synem, który wierzgał nogami i walił piętami w posadzkę, doprowadzając matkę do wściekłości.

— Natychmiast przestań wrzeszczeć! — rzekł surowo, grożąc mu palcem.

Ach, jasne, pomyślał Jeremy. Jak gdyby to mogło odnieść jakikolwiek skutek.

Elliot spurpurowiał, w dalszym ciągu wijąc się jak piskorz na podłodze.

W tym momencie Lexie przerwała swoje poszukiwania i skupiła uwagę na tamtym małżeństwie. Jeremy'emu przeszło przez myśl, że takim spojrzeniem mierzy się kobietę koszącą trawnik w bikini, rodzaj widowiska, jakiego nie sposób pominąć. Wrzeszczało niemowlę, wrzeszczał Elliot, wrzeszczała żona na męża, żeby coś zrobił, na co mąż odwrzaskiwał, że próbuje. Wokół szczęśliwej rodzinke zebrał się spory tłum. Kobiety przyglądały się im na poły z wdzięcznością, na poły ze współczuciem. Wdzięczne, że nie przydarza się to im, lecz zdając sobie dokładnie sprawę — najprawdopodobniej na podstawie własnego doświadczenia — przez co przechodzą młodzi ludzie. Z kolei mężczyźni nie pragnęli chyba niczego więcej, jak tylko uciec jak najdalej od tego nieopisanego harmidru.

Elliot walił głową w podłogę, krzycząc, o ile to możliwe, coraz głośniej.

— Po prostu chodźmy! — powiedziała w końcu ostrym tonem kobieta.

— Nie sądzisz, że właśnie to usiłuję zrobić? — burknął z rozdrażnieniem mężczyzna.

— Podnieś go.

— Próbuje! — krzyknął zniecierpliwiony.

Elliot nie chciał mieć nic wspólnego z ojcem. Gdy mężczyzna w końcu go złapał, chłopiec wił się jak rozwścieczony wąż. Rzucił głową z boku na bok, nawet na chwilę nie przestawał wierzgać nogami. Czoło ojca zrosił pot, krzywił

się z wysiłku, natomiast Elliot zdawał się rosnąć w oczach, miniatura Hulka, rozdymająca się ze złości.

Jakimś cudem objuczonym zakupami rodzicom udawało się posuwać do przodu, pchając wózek i nie wypuszczając z objęć dzieci. Gapie rozstąpili się niczym Morze Czerwone przed zbliżającym się Mojżeszem i w końcu cała rodzina zniknęła z pola widzenia, cichnący płacz był jedynym świadectwem, że w ogóle tutaj byli.

Thum zaczął się rozpraszać, lecz Jeremy i Lexie w dalszym ciągu stali jak wrośnięci w ziemię.

— Nieszczęśnicy — rzekł Jeremy, ogarnięty nagłym przestraciem, czy właśnie tak będzie wyglądało jego życie za parę lat.

— Jakbym nie wiedziała — zgodziła się Lexie, obawiając się chyba tego samego.

Jeremy stał zagapiony, mimo że krzyki całkiem ustały — rodzina najwyraźniej wyszła ze sklepu.

— Nasze dziecko nigdy nie będzie dostawało takich napadów złości — oświadczył.

— Nigdy. — Świadomie lub nieświadomie Lexie położyła dłoń na brzuchu. — To zdecydowanie nie było normalne.

— A rodzice wyraźnie nie mieli pojęcia, co zrobić — dodał Jeremy. — Zwróciłaś uwagę, jak próbował przemówić do syna? Jakby był w sali konferencyjnej.

— Idiotyczne. — Lexie pokiwała głową. — I jakim tonem się do siebie odzywali? Dzieci wyczuwają napięcie. Nic dziwnego, że rodzice nie mogli nad nimi zapanować.

— Nie wiedzieli chyba, jak się zachować.

— Rzeczywiście chyba nie.

— Jak to możliwe?

— Może po prostu są zbyt pochłonięci własnym życiem, by poświęcać wystarczająco dużo czasu dzieciom.

Jeremy, wciąż nie ruszając się z miejsca, przyglądał się, jak odchodzi ostatni z gapiów.

— Tak, to zdecydowanie nie było normalne — powtórzył słowa Lexie.

— Jestem o tym absolutnie przekonana.

*

Dobrze, a więc oboje się oszukiwali. W głębi serca Jeremy był tego świadom, zresztą podobnie jak Lexie, ale łatwiej było udawać, że im nigdy nie przydarzy się taka sytuacja, jakiej byli przed chwilą świadkami. Ponieważ będą lepiej przygotowani. Bardziej oddani. Mils i cierpliwi. Bardziej kochający.

A dziecko... cóż, ich córeczka będzie dobrze się rozwijała w otoczeniu, jakie jej stworzą razem z Lexie. Co do tego nie ma wątpliwości. Jako niemowlę będzie przesypiała całe noce; jako szkrab uczący się chodzić będzie zachwycała ponadprzeciętnymi zdolnościami motorycznymi i bardzo wcześnie zacznie mówić. W pięknym stylu ominie pola minowe wieku dojrzewania, będzie trzymała się z daleka od narkotyków i patrzyła niechętnie na filmy dozwolone od lat osiemnastu. Zanim opuści dom, będzie kulturalną, dobrze

wychowaną młodą damą z ocenami dość wysokimi, by dostać się na Uniwersytet Harvarda, mistrzynią Stanów Zjednoczonych w pływaniu, a mimo to znajdzie czas, aby pracować w charakterze wolontariuszki dla organizacji Habitat for Humanity.

Jeremy uczeplił się kurczowo tego marzenia, lecz po chwili przygarbił się bezsilnie. Mimo że miał zerowe doświadczenie rodzicielskie, zdawał sobie sprawę, że nie będzie to takie łatwe. Poza tym wybiegał myślami o wiele za daleko.

Po upływie godziny siedzieli na tylnym siedzeniu tak-sówki, utknąwszy w korku w drodze do Queens. Lexie przeglądała kupiony przed chwilą poradnik *Czego się spodziewać, kiedy się spodziewasz*, Jeremy zaś obserwował świat za szybami. Był to ich ostatni wieczór w Nowym Jorku — Jeremy przywiózł tutaj Lexie, by poznała jego rodzinę — i rodzice zaplanowali małe spotkanie w swoim domu w Queens. Rzecz jasna „małe” było pojęciem względnym, ponieważ biorąc pod uwagę, że miało przyjechać pięciu braci Jeremy’ego z żonami oraz dziewiętnastoro bratanków i bratanic, dom będzie pękał w szwach, jak zresztą często bywało. Mimo że Jeremy czekał z niecierpliwością na spotkanie, nie mógł całkowicie wyrzucić z myśli pary, którą dopiero co widzieli. Wydawali się tacy... normalni. To znaczy poza wyczerpaniem. Zastanawiał się, czy jego i Lexie również to czeka, czy też jakimś sposobem zostanie im to oszczędzone.

Może Alvin miał rację. Przynajmniej częściowo. Chociaż

Jeremy uwielbiał Lexie — i był tego absolutnie pewny, w przeciwnym razie nie oświadczyłby się — nie mógł twierdzić, że naprawdę ją zna. Po prostu zbyt mało czasu spędzili ze sobą, by się dobrze poznać, i im więcej o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że nie zaszkodziłoby, gdyby mieli szansę z Lexie spotykać się regularnie przez pewien okres. Był już wcześniej żonaty i wiedział, że właśnie czasu trzeba, by nauczyć się, jak żyć z drugą osobą. By przyzwyczaić się do, nazwijmy to, jej dziwactw. Każdy je ma, lecz dopóki naprawdę się kogoś nie pozna, ta druga osoba na ogół stara się je ukrywać. Był ciekaw, jak to jest w przypadku Lexie. A jeśli na przykład śpi w jednej z tych zielonych масечек na twarzy, które mają zapobiegać zmarszczkom? Czy naprawdę byłby zadowolony, budząc się codziennie rano i widząc je?

— O czym myślisz? — spytała Lexie.

— Słucham?

— Spytałam cię, o czym myślisz. Miałeś zabawną minę.

— O niczym.

Lexie przyjrzała mu się bacznie.

— O dużym niczym czy zupełnie o niczym?

Odwrócił się twarzą do niej, marszcząc brwi.

— Jakie jest twoje drugie imię?

*

Przez następne kilka minut Jeremy zadał jej serię pytań, o których wspomniał wcześniej Alvin, i dowiedział się, co

następuje: miała na drugie imię Marin; jej kierunkowym przedmiotem na studiach był angielski; jej najbliższą przyjaciółką w college'u była dziewczyna o imieniu Susan; jej ulubionym kolorem jest fiolet; woli ciemny chleb; lubi oglądać *Trading Spaces*; uważa Jane Austen za świetną pisarkę; jeśli chodzi o ścisłość, 13 września skończy trzydzieści dwa lata.

A nie mówiłem?

Odchylił się na oparcie, zadowolony, a Lexie kartkowała poradnik. Jeremy pomyślał, że tak naprawdę go nie czyta, przegląda tylko pobieżnie fragmenty, w nadziei, że uzyska pewien rodzaj przewagi na starcie. Zastanawiał się, czy postępowała w taki sam sposób za każdym razem, gdy musiała uczyć się w college'u.

Jak dał mu do zrozumienia Alvin, rzeczywiście wielu rzeczy o niej nie wiedział. Ale jednocześnie wiedział dużo. Była jedynaczką, dorastała w Boone Creek, w Karolinie Północnej. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy była dzieckiem, wychowywali ją dziadkowie ze strony matki, Doris i... i... Stwierdził, że powinien ją o to spytać. W każdym razie studiowała na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Chapel Hill, zakochała się w niejakim Averym i mieszkała przez rok w Nowym Jorku, gdzie odbywała staż w bibliotece NYU. Gdy dowiedziała się, że Avery ją zdradza, wróciła do domu i została kierowniczką biblioteki w Boone Creek, podobnie jak kiedyś jej matka. Po pewnym czasie związała się z kimś, kogo nazywała Panem Renesansem, on

jednak wyjechał z miasteczka, nie oglądając się za siebie. Od tamtej pory wiodła spokojne życie, spotykając się od czasu do czasu z miejscowym zastępcą szeryfa, dopóki nie pojawił się Jeremy. Ach, no i oczywiście: Doris — która była właścicielką restauracji w Boone Creek — utrzymywała, że ma zdolności parapsychologiczne, łącznie z tym, że potrafi określić płeć jeszcze nienarodzonego dziecka, stąd Lexie wiedziała, że będą mieli córeczkę.

Musiał przyznać, że te fakty znają również wszyscy mieszkańcy Boone Creek. Czy jednak wiedzieli, że Lexie odgarnia włosy za uszy, kiedy jest zdenerwowana? Albo że wspaniale gotuje? Albo że gdy potrzebuje chwili wytchnienia, lubi szukać schronienia w domku nieopodal latarni morskiej na cyplu Hatteras, gdzie kiedyś wzięli ślub jej rodzice? Albo że nie dość, iż jest inteligentna i piękna, ma fiołkowe oczy, nieco egzotyczną urodę i ciemne włosy, to przejrzała jego niezręczne próby wykorzystania męskiego uroku, żeby zaciągnąć ją do sypialni? Podobało mu się, że Lexie nie pozwoliła, by cokolwiek uszło mu na sucho, mówiła, co myśli, i stanowczo mu się przeciwstawiała, gdy uważała, że Jeremy jest w błędzie. Jakimś sposobem umiała robić to wszystko, nie tracąc jednocześnie kobiecości i wdzięku, który dodatkowo uwypuklał zmysłowy południowy akcent. Jeśli dorzucić do tego, że wyglądała absolutnie rewelacyjnie w obcisłych džinsach, to trudno się dziwić, że Jeremy stracił dla niej głowę.